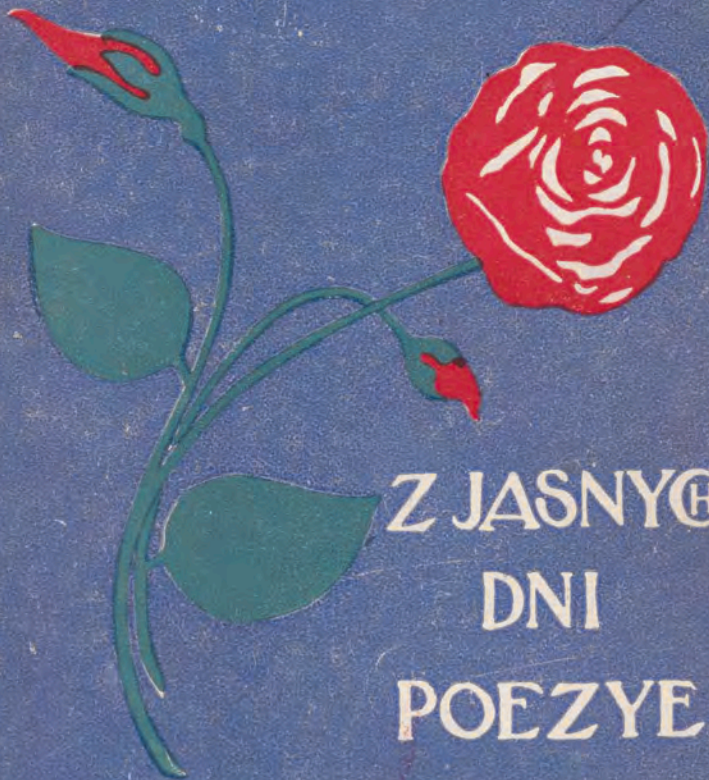
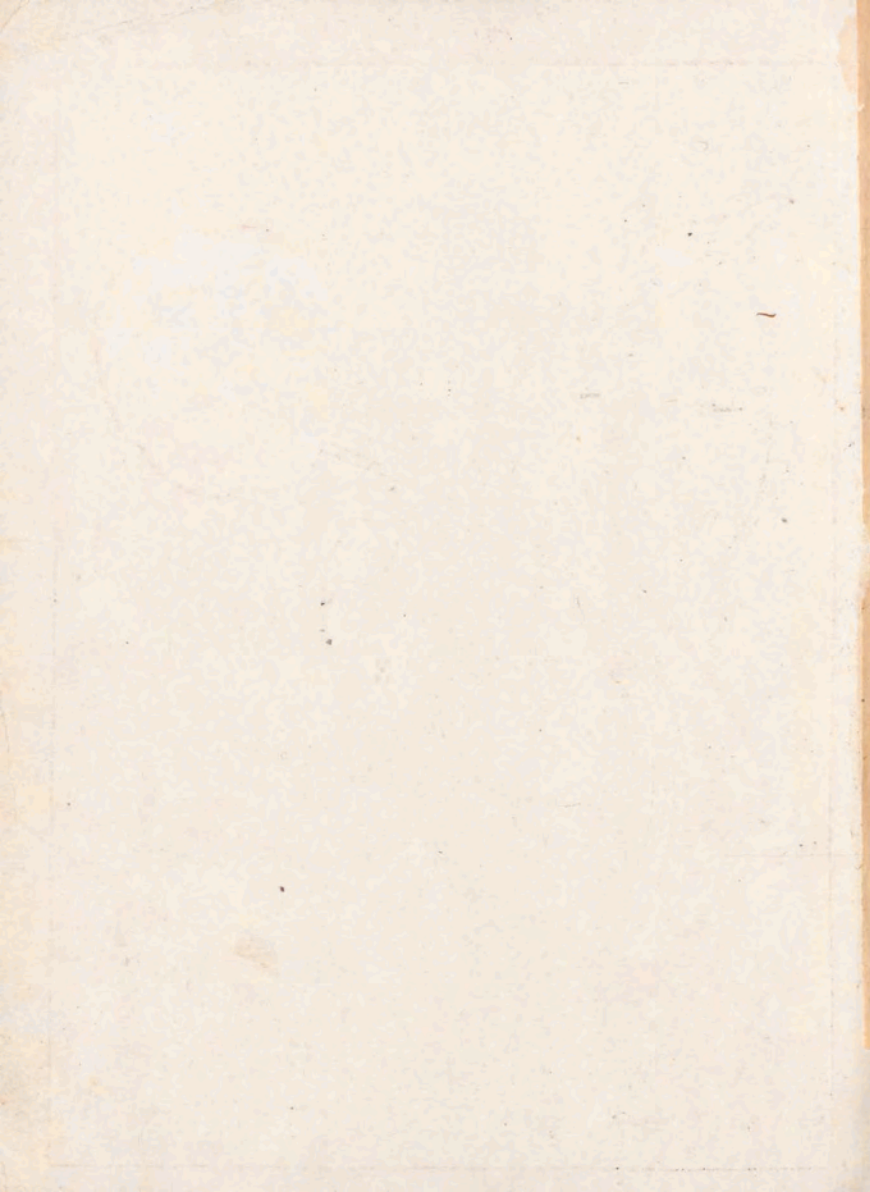


ALEKSANDER MOGILNICKI



Z JASNYCH
DNI
POEZYJE

ŁÓDŹ · RYCHLEŃSKI · I · WEGNER



ZAKUPIONO

od 2 Księgarni
P. Seipelta

dla

MIEJSKIEJ BIBLIOTEKI PUBL.

w Łodzi

No. 32065 dn. 7/7 1936

108282

1964

Stammem; Kocharum Pura
Leonu Papreshum a dui no-
foceria wozólnej jacy w Egrie
Apelacyjnym. *Stojilnia*.
1 meńca 1917.

Z JASNYCH DNI

III. RYDERSKI

OZDOBY I OKŁADKA RYSUNKU
A. S. PROCAJŁOWICZA
ODBITO CZCIONKAMI DRUKARNI
NARODOWEJ W KRAKOWIE.

Z JASNYCH DNI

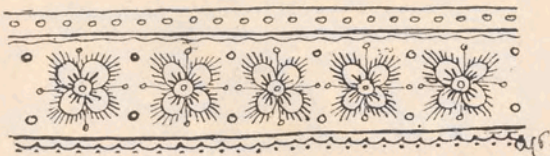
POEZYE

ALEKSANDRA MOGILNICKIEGO

884-1 + 9(438) (Lódź) (00)

ŁÓDŹ
RYCHLIŃSKI I WEGNER
51 PIOTRKOWSKA 51
1903



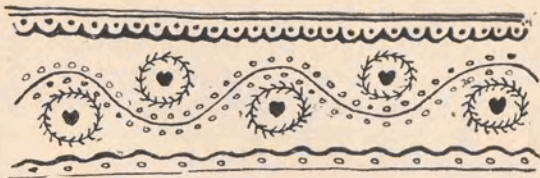


Zamiast wstępu.

To, o czym nie wie ojciec, brat,
Co żyło w serca tajniku,
Całemu światu zwierzam rad
W małym poezyi tomiku.

Czy znajdę oddźwięk, czy też nie
W granicie serc tego świata,
Ja mu otwieram serce swe,
Bo świat ten kocham, jak brata.

Z rozmyślań i wrażeń.



Świat czarów.

I wy się skarżycie, że mało wam wrażeń,
 Że życie bezbarwnie wam płynie,
Dzień każdy z jednakich układa się zdarzeń,
 Godzina podobna godzinie.

I wy się skarżycie, że wrażeń wam mało,
 I każdy z was pragnie, jak dziecię,
By dziwne zjawisko tu dla was powstało
 Jakiego nie było na świecie.

I myśl wasza leci w te czarów dziedziny,
 Gdzie cuda na każdym są kroku;
I wszyscy szukacie nieznannej krainy,
 Co gdzieś się ukrywa w obłoku.

A żaden nie wfdzi, że przy was, tu, blisko,
Roztacza się cały świat czarów,
A żaden nie myśli, że cudów siedlisko
Jest właśnie wśród ziemskich obszarów.

Spojrzyjcie dokoła: na sosny wyniosłe,
Na jodły, topole i klony,
Na dęby poważne, szeroko rozrosłe,
Na wiecznie płaczące jesiony.

Wszak wielkie te drzewa z grubymi konary
To symbol potęgi i siły.
A jednak, — powiedzcie, czy nie są to czary?
Z ziarneczka się wszystkie zrodziły.

Gdy wróżka w słowika przemienia minstrela,
To baśń czarodziejska, to złuda!
A kiedy z żołądzi dąb olbrzym wystrzela,
Czyż nie są stokrotne to cuda?

W piosence czarodziej potężnem skinieniem
Lodowce zamienia w ogrody.
Czyż nie jest to samo, gdy wiosna swem tchnieniem
Roztapia nam śniegi i lody?

Gdy w baśni się zbliża królewicz wybrany
Do zamku uśpionej królowny,
Na cierniach wyrasta kwiat świeży różany,
I słyhać ton muzyki rzewnej.

I w naszych ogrodach wspaniały kwiat róży
Wśród cierni i głógów rozkwita,
I muzyka dźwięczy, gdy słowik po burzy
Wschodzące słońeczko powita.

U wrózek pałace, z klejnotów stawiane,
Rzucają barw świetnych tysiące,
Lecz u nas te barwy są bardziej świetlane,
Gdy w rosie porannej gra słońce.

Więc czegoż szukacie, gdy przy was, tu, blisko
Roztacza się cały świat czarów?
Więc dokąd dążycie, gdy cudów siedlisko
Jest właśnie wśród ziemskich obszarów?

Miłość.

Miłość to iskra, która w sercach ludzi
Śpiące uczucia nagle ze snu budzi,
Odsłania oczy, zakryte powłoką,
A myśli każe lecieć tam, wysoko,
Do nieśmiertelnej, nieziemskiej krainy,
Gdzie Bóg króluje wszechwładny, jedyny.

Miłość — to morze niebiańskich rozkoszy;
To ptak skrzydlaty, co łatwo się płoszy,
Lecz gdy raz w sercu obierze mieszkanie,
To już na wieki w tem gnieździe zostanie.

Miłość — to siła, która tam dosięga,
Gdzie żadna inna nie dojdzie potęga.
To czarodziejka, na której skinienie
Nawet z lodowców buchają płomienie;
Stara jak wszechświat, a świeża młodością,
Wciąż się powtarza i wciąż jest nowością
To anioł biały, co człowieka strzeże,
Budzi w nim ducha i zabija zwierzę;

To dar czarowny, otrzymany z nieba;
To nieodzowna ludzkości potrzeba;
To całe niebo z gwiazdami złotymi
To źródło szczęścia takiego na ziemi,
Że z Bogiem równa istoty powszednie,
I takich cierpień, że aż piekło blednie.

Pragnąłbym wszystkie twory tej ziemi
Unieść w dal jasną do niebios szczytu
I tam wysoko bujać wraz z nimi
Na falach światła pośród błękitu.

Wydobyć z czarnej kałuży błota
Zamarłe, zimne serc ludzkich głązy,
Obmyć je w świętej wodzie żywota
I, oczyściwszy od wszelkiej skazy,

Rozgrzać płomieniem nadziei, wiary,
Zapalić ogniem boskiej miłości,
Wznieść po nad zimnych światów obszary,
I dać pojęcie nieskończoności.

Nad jeziorem.

Przedemną lustrzana powierzchnia jeziora,
Spokojna, bez fal.
Jej brzegi znikają wśród cieniów wieczora
I kryją się w dal.

A w ciemnej oddali światełek tysiące
Migają wśród mgły,
I niebo nad niemi, gwiazdami iskrzące,
Połyska i drży.

I taka tu cisza panuje wokoło
W błękitach, we mgle,
Jak gdyby świat cały pochylił już czoło
W spoczynku i śnie.

I cała natura w sen błogi, sen cichy
Pograża się już.
Usnęły nad brzegiem pachnące kielichy
Fiołków i róż.

I wszystko ucichło, lecz serce człowieka
Wciąż wyżej się rwie,
Na skrzydłach uczucia w niebiosu ucieka,
Nie myśląc o śnie.

I wierzy głęboko, że uczuć potęga,
Największa to moc,
Że serce tam dojdzie, gdzie ciemność nie sięga,
Gdzie kończy się noc.

Człowiek to tylko cyfra, zaś dwóch obok siebie
Znaczy dziesięćkroć więcej, a gdy ich przymierze
Echa dźwięk od trzeciego współbrata odbierze,
Sto uczynią w szeregu, i w każdej potrzebie,
Łamiąc wszystkie przeszkody po drodze do celu,
Jakkolwiek we trzech tylko, napozór niewielu,
Wszystko zrobią, co zechcą, na ziemi i w niebie.

Kto zliczy gwiazdy na niebios szczycie,
Promienie słońca, drżące w błękicie,
Roje owadów w lesie zielonym
Drgania uczucia w sercu zbudzonym?

Ile gwiazd krąży, ile promieni
O wschodzie słońca niebo czerwieni,
Ile się tworów w lesie porusza,
Tyle odcieni ma ludzka dusza.



Suchy listek.

Zima. Liście opadły. Obnażone drzewa *16185*.
Coraz smutniej ku niebu chylą swe korony.
Gdzieniedzie tylko zeszcły listeczek powiewa,
Przypominając światu, że niegdyś zielony
Z milionem towarzyszy, wśród zieleni żywej
Długie miesiące letnie przepędzał szczęśliwy.

A dziś, osamotniony w późnej życia dobie,
Opuszczony przez wszystkich, poźółkły, zgrzybiały,
Dawno już chciałby spocząć w towarzysów grobie,
Być zwiąnym przez te wiatry, co ich pozwiewały;
Lecz siłą przeznaczenia do życia przykuty,
Musi wieść żywot długi, choć łzami zasnuty.

Dopiero kiedy miną wichry i zawieje,
Gdy zefirek przyniesie ciepłe tchnienie wiosny,
Kiedy przyroda nowe szaty przyodzieje
I cały świat zaśpiewa jeden hymn radosny,

Wtedy nasz listek, długim żywotem znękany,
Spadnie z drzewa i zniknie w głębinach nirwany.

Natura, wiecznie młoda i wiecznie ruchliwa,
Nie znosi żadnej przerwy w nieskończonym biegu:
Jedno życie z drugiego kolejno wypływa;
Śmierć — to tylko zamiana w pokoleń szeregu.
Każda istota wtenczas idzie spocząć w grobie,
Gdy pozostawi światu następcę po sobie.

Dusza poety.

Dusza poety, jak senne morze:
Zda się, spokojna, cicha, drzemiąca, —
Nie widać ruchu w sinym przestworze,
Najłżejszy wietrzyk fali nie trąca.

A jednak w głębi krążą potwory,
Ciągną potężnych ryb korowody,
A napotkawszy nagłe zapory,
Stają do walki w głębinie wody.

I zimnokrwistych istot legiony
W krwiożerczej walce wiją się, kłębią
I, ginąc, tworzą zamęt szalony,
Aż krew strumieniem przepływa głębią.

A na powierzchni przestwór spokojny
Zawsze jednaki, cichy, drzemiący.
Nic nie zwiastuje wewnętrznej wojny,
Nic nie zwiastuje walki burzącej.

Opowiadania.



Ślimak.

W spienionym potoku, co spływa po skale,
Z łoskotem i hukiem wzburzone mkną fale.
Ich bieg rozhlukany nie znosi przeszkody:
Bez granic i miary szaleje pęd wody,
Gruchocze po drodze zapory i tamy,
Unosi pnie dębów i głązów odłamy,
A drobne żyjątko na górskiej ścieżynie
Porywa za sobą i miażdży w głębinie.
I wszystko truchleje i milknie dokoła,
Bo nikt już powodzi powstrzymać nie zdoła.

W chaosie zniszczenia, wśród trupów tysiąca
Znalazła się jedna istota żyjąca:

Małeńki ślimaczek, w muszelce ukryty,
Szczęśliwie wyminął zdradzieckie granity
I płynąc wciąż z wierzchu wśród szumu i piany,
Tak zręcznie się zwijał, że dumne bałwany
Drobnego ślimaczka uniosły leciutko
I w dole złożyły na łączkę malutką,
Gdzie uszedł zagłady i usnął spokojnie,
Jak żołnierz zwycięzca, gdy wreszcie po wojnie
Do domu wróciwszy, na laurach spoczywa,
A wkoło się cieszy rodzina szczęśliwa.
Tak drzemał ślimaczek, nie troszcząc się zgoła
O wichry i burze, szumiące dokoła.

I póty na trawce spoczywał uśpiony,
Aż słońce przebiło obłoków opony
I pierwsze promyki rzuciwszy przez chmurę,
Do życia zbudziło drzemiacą naturę.
Ślimaczek wysunął swe różki ciekawe
I spojrzął dokoła: na łąkę, na trawę,
Na bory szumiące, na pola i skały...
Tam rosy kropelki zwieszzone błyszcząły,
Jak czyste brylanty, od słońca promieni
Mieniące się tęczą na całej przestrzeni.

A ponad skałami, na krańcach obłoku
Tam łuk siedmiobarwny przedstawiał się oku,
I, łącząc się z tęczą, drgającą na ziemi,
Malował widnokrąg barwami świetnymi,
A w małej dolince, na łące zielonej
Rozsypał rubinów i pereł miliony.

Rzuciwszy więc okiem po ziemi i niebie,
Aż struchlał ślimaczek i pytał sam siebie:
»Ażaliż to prawda, że wszystkie te cuda
Istnieją wokoło? nie... chyba to złuda...
To chyba marzenie: te rosy dyamenty,
Te barwy i światła — to pałac zaklęty,
Przez wróżkę nadobną z barw tęczy utkany
I światłem uroczem dokoła zalany...
Ach, czemuż się tylko zrodziłem ślimakiem?
Dlaczego skrzydlatym nie mogę być ptakiem?
Dlaczego nie mogę ulecieć do słońca?
Ja nie chcę tak pełzać i pełzać bez końca,
Ja nie chcę być płazem, mnie skrzydeł potrzeba,
Chcę bujać wysoko i lecieć do nieba
I dążyć wciąż wyżej i wyżej i wyżej,
Od ziemi wciąż dalej, do nieba wciąż bliżej!
Ja muszę ulecieć, na krótko, na chwilę...

Ach, skrzydła mi dajcie, chociażby motyle,
Ach, skrzydła mi dajcie, bo lotu pragnienie
Rozsadza mi piersi i zwiększa cierpienie!«

»Niewolno, ślimaku, — odpowie głos z góry —
Niewolno ci wzlatać nad skały i chmury,
Niewolno szybować przez łądy i morza,
Niewolno ci zmierzyć dumnego przestworza:
Boś zrodzon ślimakiem i musisz nim zostać,
Do lotu niezdolna nikczemna twa postać,
Bo ciśnie cię muszla, przykuta do ciała,
Bo ojciec twój pełzał i matka pełzała..
I choćby ci skrzydła wyrosły sokole,
Nie umiałbyś wzlecieć, bo wrosłeś w niewolę.
Kto pełzał od dziecka, ten nigdy nie wzleci,
Choć burze przeminą i słońko zaświeci.«

»Nieprawda, zły duchu, — ślimaczek odpowie, —
Jam nędzna istota, lecz jeśli w mej głowie
Umiało się zrodzić pragnienie polotu,
To znaczy, żeś godzien wielkiego przewrotu,
To znaczy, żeś godzien, by skrzydła mi dano,
Żeś godzien ulecieć w krainę nieznaną,
Ulecieć na skrzydłach z piórami złotymi...

I chociaż mnie muszla przykuwa do ziemi,
I chociaż mam postać do lotu niezdolną,
Lecz w sercu myśl czuję potężną i wolną:
Na skrzydłach tej myśli ulecę w zaświaty
I wyżej dosięgnę, niż sokół skrzydlaty.
A kiedy się wzbiję z orłami w zawody,
Nie wstrzyma mnie żadna fatalność przyrody.«

Serenada wenecka.

Nad Wenecją gwiazdy świecą.
Mrok już zapadł. Wkoło ciemno.
Moje myśli w górę lecą,
W ciemny błękit ponademną

Ciemny błękit rozwieszony,
Jak olbrzymi dach namiotu;
Na nim błyszczą gwiazd miliony,
Wabiąc duszę do polotu.

Zrenicami srebrzystemi
Przyciągają mnie do siebie,
Jakby chciały, bym za nimi
Po błękitnem gonił niebie.

A na dole, z szmerem fali,
Pluskającej o gondolę,
Wietrzyk niesie hen z oddali
Tęskną, rzewną barkarolę.

Naokoło światła mnóstwo, —
Różnobarwne i drgające, —
Jakby z niebios dobre bóstwo
Rozsypało gwiazd tysiące.

Pośród światła barka płynie,
Na niej włoszka czarnobrewa,
Zwraca oczy ku głębinie
I czarowną piosnkę śpiewa.

A te gwiazdy migoczące,
I te światła, i te fale,
I gondole, szybko mknące
Po przezroczym wód kryształach;

I pałaców ciemne ściany,
I wieżyczka ta wyniosła,
I szmer fali, poruszanej
Delikatnym ruchem wiosła;

I namiętne pieśni tony,
Tęskne, ciche, jak westchnienie,
I widnokrąg niezmierny,
I to całe otoczenie —

Wszystko razem w sercu budzi
Rozmarzenie niepojęte,
Zapomnienie świata, ludzi..
Dolce, dolce far niente..

Coraz dalej barka płynie
Po kanału ciemnej toni;
Gra orkiestra na głębinie,
Coraz silniej piosnka dzwoni.

Już umilkła. Ale z barki
Jeszcze dźwięczy mandolina,
Cicho płynie głos fujarki,
Brzmią dzwoneczki tamburina.

Bratnie dusze.

Wśród pól różnobarwnych i łąnów szumiących,
Wśród borów poważnych i kniei
Lśni szereg polanek, już zdala wabiących
Zielonym kolorem nadziei.

Na jednej polance poważna i stara
Wierzbina podnosi swe czoło
Drżą listki srebrzyste, a muszek fanfara
Radośnie przygrywa wokoło.

Na drugiej stał dębczak, rozrosły szeroko.
Z postaci mu tryska potęga,
Złym burzom odważnie spogląda on w oko,
Lecz głową wysoko nie sięga.

Wtem drobne nasionko upada z wierzby,
A wichur mu zginąć nie daje:
Uchwycił je szybko i pomknął w wyżyny
I poniósł nad bory i gaje

I złożył daleko od wierzby-mateczki
Na drugiej polance zielonej,
Gdzie śmieją się w trawce różowe kwiateczki
Pod cieniem dębowej korony.

Na żyzną tam glebę upadłszy, ziarenko
Kiełkuje, i wkrótce nasienie
W drzewinę wyrasta, co z każdą wiosną
Wciąż głębiej zapuszcza korzenie.

Już rośnie wysoko i strzela w niebiosa
Wysmukły pień młodej wierzbinki
Na srebrnych jej listkach dyamentem lśni rosa,
A w gąszczu zieleni ptaszynki,

Z gałęzi na gałąź fruując co chwila,
Budują gniazdeczka milutkie;
Na kwiatku połyska skrzydełko motyla,
A głosy komarów cieniutkie,

Z świergotem ptaszynek w akordy splecione
 Podnoszą się z pieśnią radości
I wszystkie tam twory, sercami złączone
 Jednoczą się w hymnie miłości

I pieśń ta wspaniała, ten głos wszechstworzenia
 Rozbrzmiewa w dalekie krainy,
Ulata wciąż wyżej i dziwne marzenia
 Rozbudza w serduszkach wierzby.

Jej główka, co dotąd w niebiosach strzelała,
 Na piersi opada w milczeniu,
I pierś ta faluje i wierzba drży cała
 W rozkosznych swych snów upojeniu.

A serce jej szepcze, że młodej istocie
 Niedobrze jest samej w tym życiu,
Że zewsząd wrogowie stawiają jej krocie
 Zasadzek i sidła w ukryciu.

Że sercu młodemu do życia potrzeba
 Oddźwięku w uczuciach współbrata,
By razem dwa głosy płynęły do nieba
 I szczęście zakwitło wśród świata.

Wierzbina przychylnie nadstawia swe uszko,
Rumieńczyk okrasił jej lice —
A w piersiach wciąż szepcze bijące serduszko,
Aż ogniem tryskają źrenice.

I coraz się wzmaga uczucie gorąca,
Pierś wzbiera tą wielką miłością,
Co serce dziewicze zapala, jak słońce,
I równa je z nieskończonością.

Pod wpływem uczucia wierzbina pochyla
Koronę, dotychczas wzniesioną
I płonie rumieńcem, i ręką co chwila
Przyciska spragnione swe łono.

Aż wreszcie, nie mogąc zwyciężyć tęsknoty,
Pomimo bojaźni i drżenia,
Namiętnie wyciąga gałęzi swych sploty
I szukać chce tam ukojenia,

Gdzie schyla się ku niej dębowa korona
I dębczak spogląda miłośnie,
A pragnąc kochankę przytulić do łona,
Tak patrzy w nią czule, radośnie,

I szepcze jej zcicha: »Ty luba, jedyna,
Ja kocham cię, kocham na wieki
I kochać cię będę, aż śmierci godzina
Na zawsze mi zamknie powieki«.

Tak szepcząc, silnemi konary obwija
Jej kibić wysmukłą i wiotką,
A z niebios to widzi Najświętsza Maryja
I ku nim uśmiecha się słodko.

Już dąb się na wieki zjednoczył z wierzbina.
Korony u szczytu się łączą,
Gałązki wzrastają i z każdą godziną
Wciąż silniej i silniej się łączą.

Wierzbina, co dawniej za każdym powiewem
Swe czoło schylała w pokorze,
Dziś, z dębem spleciona, potężnem jest drzewem
I burzom opierać się może.

A dębczak, co niegdyś samotny, ponury,
Stał z głową, na piersi spuszczoną,
Dziś z hymnem dziękczynnym wznosił oczy do góry
I niebios dosięga koroną.

Bo sercu młodemu do życia potrzeba
 Oddźwięku w uczuciach współbrata,
By razem dwa głosy płynęły do nieba
 I szczęście zakwitło wśród świata.

Kotek.

Mały figlarny kotek bawił się na ziemi
Skacząc z miejsca na miejsce ruchami zwinnymi.
Najprzeróżniejsze figle wyprawia kocina:
Kręci się, podskakuje, na łapki się wspina,
Zrywa się z miejsca, pokój dokoła obiega.
Wywrócił dwa koziółki, na ziemi przylega,
Układa się na grzbiecie, wyciąga pazury
I wszystkie cztery łapki podnosi do góry;
Wtedy widać, że cała uwaga skupiona
Na to, jak złapać koniec własnego ogona.
Spostrzegł pod stołem piłkę — zabawka nielada! —
Zbliża się do niej zwolna, czai się, zakrada...
Trącił ją łapką, piłka jak żywa się toczy,
Kot śledzi za nią wzrokiem, pilnie zwraca oczy,

A gdy piłka od ściany wraca się odbita,
Rzuca się jednym susem i w pazury chwyta.
Bawi się nią przez chwilę i w ruch puszcza znowu
I znowu się zdaleka czai do połowu.
Potem, siadłszy poważnie przy rogu kanapki
I różowym językiem oblizawszy łapki,
Wyciera niemi pyszczek i starannie myje
Białą trójkątną główkę aż po samą szyję.
Skończywszy całkowity przegląd toalety,
Schwytał w pazurki koniec zwieszanej serwety,
Skoczył na krzesło, z krzesła znalazł się na stole
I znów najpociesniejsze wyprawia swawole.

»Szczęśliwe to stworzenie! — niejeden powtórzy —
Nie zna ironii losu i zasadzek burzy,
Nie słyszy huku gromów, bijących wokoło,
Bez marzeń, tęsknot, wzruszeń bawi się wesoło«

Jednak. . czy to jest szczęście? Czy godne ludzkości
Szczęście bez zrozumienia i bez świadomości?
Szczęście dobre dla zwierząt. A ja pragnę szczerze
Być szczęśliwym jak człowiek, a nie jako zwierzę:
Chcę walczyć, tęsknić, marzyć, wierzyć w ideały,
Rozwartemi ramionami świat ogarniać cały,

Potęgą myśli próżne wypełniać przestrzenie,
A przede wszystkim kochać, kochać nieskończenie!
To jest szczęście dla ludzi.

Jeśli ma być w niebie,
Tylko takiego szczęścia zapragnę dla siebie.

Sprawiedliwość.

Miedzą wśród pól zielonych szło młode pachole
I zrywało kwiateczki, co na miedzy rosną.
Złote promienie słońca padały na pole,
A cały świat wokoło uśmiechał się wiosną.

Jeden kwiatek maleńki, przez chłopca zerwany,
Podniósł różową główkę i zapytał smutno:
»Czemu mnie oderwałeś od ziemi kochanej?
Czemu mnie na zagładę skazałeś okrutną?«

»Boś ładny, — zaszczębiocze wesołe pachole —
Podobasz mi się kwiatku, wezmę cię ze sobą,
Włożę cię do bukietu, postawię na stole,
Będiesz mego pokoju miluchną ozdobą.«

Taką dawszy odpowiedź, skoczył chłopiec żywy,
Machnął giętką laseczką, którą trzymał w ręku
I ściał rosnący z boku duży krzak pokrzywy.
Pokrzywa się zachwiała i padła bez jęku .

»A dlaczego pokrzywę ściałeś, chłopcze młody?
— Tak różowy kwiateczek powtórnie zapyta —
Wszakże jej razem ze mną nie wstawisz do wody.
Dlaczego u nóg twoich wala się zabita?«

»Bo brzydka — odparł chłopiec — szkodliwa roślina!
Nie pozwoli się dotknąć, zaraz w rękę parzy.
Jak ona nieprzyjaźnie z człowiekiem poczyna,
Tak i człowiek ją wzajem nieprzyjaźnią darzy«.

»Nie mogę wyrozumieć, — rzecze kwiat do siebie —
Co się sprawiedliwością u ludzi nazywa:
I kwiatek i pokrzywę jedna ręka grzebie.
Ja zginąłem, bom ładny, ona — bo szkodliwa«.

Zwycięzca.

Tłum szalał na placu. Radosne okrzyki
Ze wszystkich ust biły ku niebu, jak dzwon.
Co chwila rozbrzmiewał takt skocznej muzyki,
A dźwiękom wtórował wrzaskliwy śpiew dziki,
W rozgłośny zlewając się ton.

Pałace kaskady słonecznych promieni
Skry ognia sypały na miasto i gwar
A ludzie, stojący na placu bez cieni,
Pijani zapałem, radością szaleni,
Niedbali o słońce i żar.

Niedbali o słońce: potężniej, niż ono,
Przyświeca im dzisiaj zwycięzki ich wódz.
Ozdobił swe czoło wawrzynów koroną,
Bo zdołał krainę, już prawie zgubioną,
Ocalić i wrogów jej zmódz.

I oto się zbliża do murów stolicy,
Po długim pochodzie podjeżdża do wrót.
Na przedzie stąpają poważni łucznicy,
Za nimi głębokie szeregi konnicy,
Niebaczej na rany i trud.

Na czele rycerstwa, w starszyny orszaku
O twarzach marsowych i zimnych, jak stal,
Wódz jechał zwycięzki na dzielnym rumaku
W srebrzystej zbroicy i lśniącym szyszaku —
Wzrok orli utkwiony ma w dal.

Nad wojskiem łopoczą zdobyczne sztandary,
Wydarte z rąk wroga, gdy krwawy wrzał bój.
A huczna orkiestra dźwiękami fanfary
Porusza rozległe powietrzne obszary —
Radosnych akordów brzmi rój.

W złocistych pancerzach odbija się słońce,
Na grotach i tarczach milionem gra zórz.
I w blasku tym idą rycerzy tysiące,
Jak gdyby od glorii zwycięztwa błyszczące,
Do murów zbliżają się już.

Gdy weszły do miasta zwyciężkie kolumny,
Okrzykiem tryumfu powitał je lud
A wódz, spoglądając na ludu gwar tłumny,
Wzrok toczył dokoła radosny i dumny...
Wtem jęk dał się słyszeć u wrót.

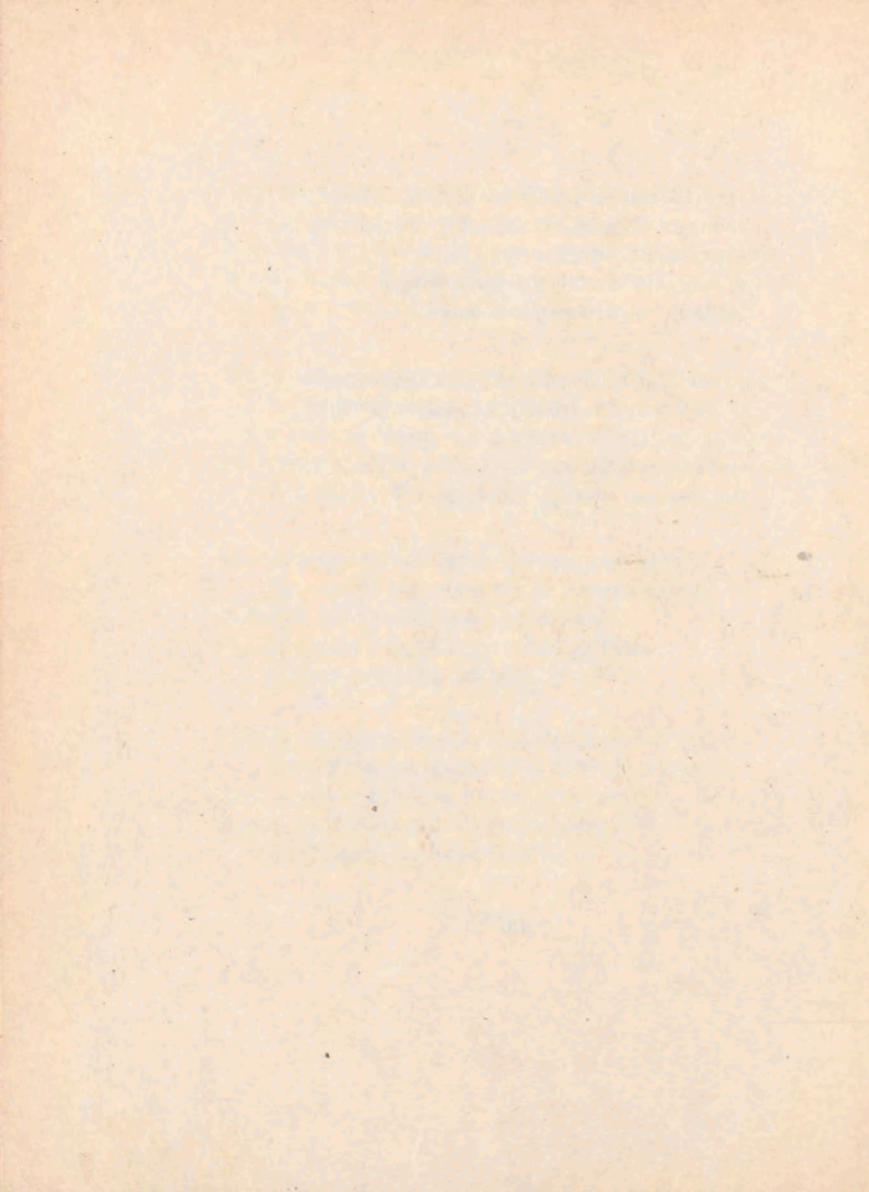
Wódz głowę odwrócił. »Co znaczy — zapyta —
W godzinie radości fałszywy ten dźwięk?
Co znaczy ta stara wybladła kobieta,
Na której siwiźnie kwiat róży rozkwita,
A z piersi wydiera się jęk?«

»Zwycięzco, — staruszka z rozpaczą zawoła —
By cieszyć się z wami, ja nie mam dość sił...
Jednego ja miałam, jednego sokoła,
On szczęście i radość roztaczał dokoła,
Jedyną pociechą mi był.

Gdy w lśniącym kirysie wyjeżdżał na wojnę,
Promienny jak światło, a dzielny jak czyn,
Jam z wiarą patrzyła na hufce te zbrojne
I oczy za nimi zwracałam spokojne;
Wierzyłam, że wróci mój syn.

Dziś przyszedł go witać po długiej rozłące,
Jednego pragnęłam zobaczyć wśród mas..
I oto nietknięte wracają tysiące,
A syn mój nie wrócił. Za serce bijące
Oddano mi krwawy ten pas.«

Wódz spojrział na matkę oczyma smutnemi,
W błyszczącej źrenicy zagasty mu skry...
I myślał, że hejnał wojenny na ziemi
Nie może rozbrzmiewać tonami czystymi,
Bo zawsze wtórują mu łzy.



Silva rerum.



Na przełomie wieków

Kiedy czas w swoim niezmiennym biegu
Wiek dziewiętnasty wzywa ku sobie,
A na siwego staruszka grobie
W niezamąconym wieków szeregu
Pełen młodości, pełen nadziei,
Już wiek dwudziesty staje z kolei, —
Czegóż możemy żądać od niego
My, dzieci wieku dziewiętnastego,
Wiekę postępu, wieku rozwoju;
Gdzie rozum z sercem stanął do boju
I po morderczej choć krótkiej walce
Roztoczył nad niem swe panowanie, —

Sztandar chwyciły złota słuźalce,
Serce zostało na drugim planie.
I odtąd rozum sań jeden rządzi,
A serce tylko czasem zabłądzi,
Czasami w piersiach mocniej zabije,
Aby przypomnieć, że jeszcze żyje
I pragnie władzy, choć uciśnione,
Choć mu zabrano świata koronę.
Wiem już, wiem teraz, dwudziesty wieku,
Jakie mam tobie stawiać żądania:
Żądam, byś wzbudził w każdym człowieku
Więcej uczucia, więcej kochania.
Serca nam więcej, serca potrzeba,
Mniej płaskiej ziemi, a więcej nieba,
Do ideałów więcej dążenia,
Więcej miłości, mniej wyliczenia!
I wierzyć pragnę, że tak się stanie,
Że zimny rozum wkrótce upadnie,
Ze kiedy wszędzie wieku zaranie,
Uczucie więcej ludźmi owładnie.
I rozum z sercem, jako brat z bratem,
Roztoczą wspólne rządy nad światem.
Tak pragnę wierzyć, bo są już ludzie,
Którzy w codziennym, powszednim trudzie,

W walce ze zmienną koleją losu,
W ciągłym zetknięciu z bezdusznym tłumem
Żyją nietylko zimnym rozumem,
Ale słuchają i serca głosu.
Znam takich ludzi i wierzyć muszę,
Że wiek dwudziesty przyniesie zmianę,
Że w zimnych tłumach obudzi duszę,
Obudzi głosy, dziś zapomniane.
Obyśmy wkrótce już doczekali
Czasu, gdy pękną serca ze stali,
Gdy szlachetniejsze uczucia drgnienia
Nie będą ginąć już w poniewierce..
Niech prędej przyjdzie wiek odrodzenia!
Niech żyją ludzie, co mają serce!

Do młodych.

Życie jest krótkie, nie traćmy chwili,
Bo raz stracona, nie wraca już.
Wzniesione czoło niech się nie chyli
Pośród życiowych wstrząśnień i burz.

Kiedy w umyśle zamiar powstanie,
To go natychmiast wcielajmy w czyn.
Nam nie przystoi długie wahanie,
Nam nie przystoi angielski spleen.

Jeśli pracować potrzeba szczerze,
To się do pracy zabierzmy wraz.
Gdy trzeba ofiar, złożmy w ofierze
Rozum i serce, siły i czas.

Gdy mamy kochać, to już bez granic:
Miłość prawdziwa nie zna, co kres;
Kto szczerze kocha, nie zważa na nic
I śmiało płynie przez morze łez. *

Kiedy nas hasło wezwie do boju,
Kiedy potrzeba chwycić za broń,
Z odwagą w sercu, bez niepokoju
Wznieśmy do góry orężną dłoń.

»Ostrożnie z ogniem!« — wołają starzy
I marszczą groźnie krzaczastą brew.
Lecz myśmy młodzi, żar nas nie parzy,
Bo w naszych żyłach gorętsza krew.

Walczmy, pracujmy i sercem całym
Kochajmy życie, pracę i bój.
A przy zabawie pijmy z zapałem
Pełnemi usta uciechy zdroj.

Jak różnobarwnych roje motyli
Krążmy nad wonnym kielichem róż.
Życie jest krótkie, nie traćmy chwili,
Bo raz stracona, nie wraca już.

Mistrzowi cześć!

Wiersz, wypowiedziany na obchodzie jubileuszu Sienkiewicza
w Łodzi dnia 22 Grudnia 1900 r.

Któż nie cenił tej chwili i któż nie pamięta,
Kiedy w wolnej godzinie, korzystając z święta,
Wziął po raz pierwszy »Ogniem i mieczem« do ręki
I całą myśl zatopił w melodyjne dźwięki
Sienkiewiczowskiej pięknej, niezrównanej mowy,
Która tam, na tle wielkiej epoki dziejowej
Odtworzyła nam szereg postaci potężnych,
Charakterów niezłomnych, serc prawych i mężnych,
Zdjęła pył zapomnienia z minionej przeszłości,
Tchnęła nowego ducha w stare przodków kości,
Oderwała myśl naszą od codziennej pracy
I przypomniała wszystkim, jak niegdyś Polacy
Z męztwem w pancernej piersi, z silną wiarą w Boga
Zwyciężali kilkakroć liczniejszego wroga.

Kto, czytając, nie wielbił tych dzielnych postaci,
Które krew przelewały w obronie współbraci?
Kto nie kochał tych tworów pióra Sienkiewicza?
Nie podziwiał pięknego Heleny oblicza?
Kto nie tęsknił z Skrzetuskim, nie śmiał się z Za-
głobą?

Komu serce nie drgało Bohuna żałobą?
Kto nie czcił Czarnieckiego? czyja prawa dusza
Nie drżała z oburzenia przy zdradzie Janusza?
Kto nie szalał z Kmicicem, nie cierpiał z Oleńką?
Kto nie doznał wzruszenia nad Litki trumienką?

Wszyscyśmy to odczuli i wszyscy doznali
Czaru tych słów potężnych, co nam dusze pali.

Więc za to, że nam serca poruszył do głębi,
Że nam kazał zapomnieć o trosce, co gnębi,
Że w nas ducha obudził i myśli uśpione
Od każdodziennych zwątpień uniósł w inną stronę;
Za to, że darem słowa i potęgą myśli
Serca wszystkich współbraci złączył jaknajściślej,
Że zarówno w pałacach, jak w chacie prostaczej
Nauczył czuć inaczej i kochać inaczej. —

Za to jedno już trzeba zgiąć przed nim kolano
I skroń mu aureolą otoczyć świetlaną

Lecz on więcej uczynił. W niedościgłym locie
Porzuca hufce polskie i Tatarów krocie,
Szerokiem skrzydłem ptaka leci w kraj daleki
I wywołuje z grobu te zamierzchłe wieki,
Kiedy w płonącym Rzymie za czasów Nerona
Chrześcijaństwo zwycięża, a pogaństwo kona.
I oto przed oczyma czytelnika staje
Neron Miedzianobrody, Tigellina zgraje,
Elegancki Petroniusz, Lygia pełna czaru
I tłumy pierwszych chrześcian, na zgłiszczach po-
żaru,
Idących z pieśnią w męki dla nagrody w niebie

»Quo Vadis«!

Tu Sienkiewicz przewyższył sam siebie:
Dotąd pisał dla kraju, a teraz wylata
Poza jego granice i tworzy dla świata.
Sława mistrza rozbrzmiewa daleko, daleko.
I płynie coraz dalej niewstrzymaną rzeką.
W Europie jej za ciasno, nazbyt silnie płonie —
Przebywa Atlantyku szmaragdowe tonie

I po całej powierzchni naszego planety
Roznosi arcydzieła pisarza-poety.
A z nimi niesie sławę naszego imienia
I kraj nasz świętym blaskiem znowu opromienia.

Więc za to, że swem piórem i dziełami swemi
Rozszerzył naszą sławę i na obcej ziemi,
Że tam zaniósł wieść o nas na chwały promieniu,
Gdzie dotąd nie wiedziano o naszym istnieniu, –
Za to dziś, gdy go wielbią wszystkie ludy ziemi,
Złączmy i nasze głosy z głosami obcemi!
A w chwili uniesienia pamiętajmy o tem,
Że niedosyć go uczcić kadzidłem i złotem,
Że on dla nas wart więcej, niż dla reszty świata:
Świat w nim wielbi geniusza, my kochamy brata

Więc to, co jest najdroższem, złożmy mu w ofierze:
Dajmy mu nasze serca, kochające szczerze,
Połączmy w zgodnym chórze wszystkie nasze głosy,
Jednym hymnem dziękczynnym uderzmy w niebiosy
I wszyscy razem hołdy u stóp jego złożmy
I vivat, vivat, vivat po trzykroć powtórzmy!

Na nowe szlaki.

(Na jubileusz Konopnickiej w r. 1902).

Nad lasami, nad polami
Zimny wiatr jesienny leci,
A w poświście jego słyhać
Skargę nędzy i niedoli.

Na szerokiem cmentarzysku
Gwarzą z cicha dęby stare,
I odwiecznych lip konary
Szumią w sennym rozhovorze

Cztery wieki przeminęły,
Odkąd cmentarz ten istnieje,
A wciąż nowe na nim groby
Odświeżają dawne dzieje.

Stare groby pleśń porasta,
Lecz pomniki nie zmurszały;
I dziś jeszcze napis stary
Na marmurze czytać można.

Na najstarszym z tych grobowców
Imię Jana z Czarnolasu,
A w najbliższym stoją rzędzie
Trzy kolumny granitowe.

Na nich wielkie trzy imiona:
Pierwsza grób Adama kryje,
A dwie inne wystawiono
Dla Zygmunta i Juliusza.

Trzy kolumny w jednym rzędzie
Wystrzelają nad tłum grobów
I sięgają tak wysoko,
Że aż ziemię z niebem łączą.

A pod tymi grobowcami
Postać czarna pochylona:
Płaszcz żałobny z ramion spływa
A nad czołem gwiazda świeci.

Czy to matka nieszczęśliwa
Opłakuje zmarłe dzieci?
Czy dziewica opuszczona
Nad kochanka grobem szlocha?

Nie, to postać jest niezemska:
Na jej twarzy obok żalu
Znać potęgę i natchnienie,
W oczach — błysk nieśmiertelności.

A ta gwiazda, co nad czołem
Pochylonem błyszczy zdala,
Taką siłę ma promienną,
Że nie może zgasnąć nigdy.

Czemż postać nieśmiertelna
Opłakuje zmarłych cienie?...
Bo z ich śmiercią nic już dla niej
Na tej ziemi nie zostało.

Bo już nikt jej nie rozumie,
Nikt nie śpiewa z jej natchnienia,
Więc poezya nieśmiertelna
Przyszła płakać na cmentarzu.

I płakała długie lata
Bez pociechy i nadziei,
I myślała, że już wiecznie
Na cmentarzu płakać będzie.

Wtem ją lekki szelest zbudził
Z zamyślenia i żałości.
Wzniósła oczy zapłakane
I spojrzała przez łez perły.

Pod kolumną dziewczę młode
Kłęczy, ręce ma złożone,
Jakby chciała do niej właśnie
Swoje modły ślać gorące.

»Wstań poezyo, — dziewczę błaga, —
Odrzuć czarną swą żałobę,
Twe natchnienie nie umarło:
Żyje ono w piersiach ludu.

Wstań i chodź na nowe drogi,
Gdzie ja ciebie poprowadzę;
Jeszcześ nigdy tam nie była,
Tam największą zyskasz władzę.«

»Kto ty jesteś, ty dziewczyno,
Która chcesz, bym szła za tobą?
I na jakie nowe szlaki
Ty mnie możesz poprowadzić?

Bo pamiętaj, że niełatwo
Dla mnie nową wskazać drogę,
Żem już wiele dróg zwiedziła,
A nie wszędzie stąpać mogę.

Do wielbionej dziś krainy,
Gdzie uczucia łokciem mierzą,
Gdzie mnie nagiąć chcą do prozy
I zagrzebać w brudach życia; —

Do tych krain ja nie pójdę
I do błota się nie schylę,
Bo nad wszystkie skarby świata
Cenię czystość nieskalaną«.

»Kto ja jestem, — dziewczę rzecze —
Imię Maryi mi nadano,
A jeżeli pójdziesz ze mną,
Nowe drogi ci odkryję.

Nie za góry i za morza,
Nie w obłoki śnieżnopyłóre,
Nie do świetnych króla tronów
I pałaców marmurowych.

I nie do tych bagnisk świata,
Które skalaćby cię mogły,
Lecz tam ciebie poprowadzę,
Gdzie najczystsze perły leżą.

Tam pójdziemy, gdzie bez dachu
W noc zimową dziecię kona;
Gdzie Jaś słońka nie doczekał
I gdzie pęka chłopskie serce;

Gdzie w piwnicznej izbie matka
Chce dziecięciu las pokazać,
I nie może, bo ją nędza
Na uwięzi w mieście trzyma;

Gdzie przed sądem chłopię staje,
Co się uczyć winno tylko;
I gdzie ojciec w czarną rolę
Swoich chłopiąt wsiał głowiny;

Gdzie w chałupie żona stęka,
Że aż jęczy cała chata,
Gdzie w barłogu głodne dzieci,
A w stodole niema zboża

Gdzie liliowe tylko dzwonki
Nad Jasieńka trumną dzwonią,
Bo w kościele talar biały
Za dzwonienie płacić trzeba

Gdzie pod prawem dziewczę ginie,
Banasiowa śmierci czeka,
Gdzie pan Balcer na wygnaniu
Do ojczystej tęskni ziemi

Gdzie trumienkę z wiejskiej szkółki
Na cmentarzyk cicho niosą,
Gdzie łez krople policzone
Jednak błyszczą nieotarte.

Tam pójdziemy, tam cię czeka
O poezyo, nowa władza,
Jeśli za mną tam podążysz,
Ja cię nigdy nie opuszczę.«

Tak przemawia dziewczę młode,
Tak przemawia i tak błaga.
A poezya pilnie słucha,
Gwiazda nad nią silniej błyska.

Wreszcie wstaje z pod grobowców,
Płaszcz żałobny precz odrzuca
I zawoła: »Pójdę z tobą
Na te piękne nowe drogi.

Boś ty jedna pośród tłumów
Przeniknęła serce moje,
Boś ty jedna zrozumiała,
Gdzie najczystsze biją źródle.

Nie dawaj mi serca.

Serce mi dajesz... A gdyby się ono
W głąb mojej piersi na chwilę dostało,
Tamby znalazło ziemię, krwią zboczoną
I czarną przestrzeń, piorunem rozgrzmiałą.

Tam by znalazło sine morza fale,
Co podczas burzy kłębią się i wiją,
I wichry dzikie, co w zwierzęcym szale
Pędzą nad ziemią i przeciągle wyją.

Tamby znalazło groźne Alp urwiska,
Śniegiem* pokryte Himalajów szczyty
I źródło górskie, co ze skały tryska
I modrą wstęgą przecina granity.

I nieskończone ludzkich cierpień morze,
Męczonych jęki, ginących okrzyki,
Stada jastrzębi, krążące w przestworze
I wilków wycie i tygrysów ryki.

Śpiącą ofiarę, do której się skrada
Z sztyletem w ręku bazduszny morderca
I widma, które budzi nędza blada,
Tam by znalazło. Nie dawaj mi serca.

Podział skarbów

Ja mam duszę dla Boga, co króluje w niebie.
Życie mam na usługi mojego narodu,
Serce mi czarodziejka zabrała za młodu,
Honor tylko zachowam na zawsze dla siebie.

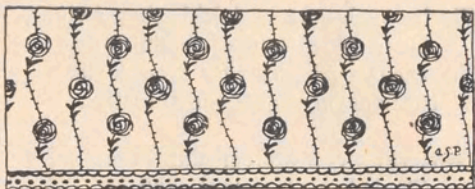
Śmieszka.

Malutka,
Filutka,
A śmieje się, śmieje,
Wypadkiem,
Ukradkiem
Łzę czasem przeleje.

Lecz wokoło
Wesoło
I żywo być musi,
Choć dusza
Się wzrusza
I serce płacz dusi.

Z jasnych dni.

II.



Odjazd górala

Żegnajcie mi, wyniosłe szczyty gór;
Żegnajcie, moje drogie Tatry;
Żegnajcie mi, wy skały pośród chmur;
Żegnajcie, burze, mgły i wiatry.

Odchodzę już w nieznana, głuchą dal...
Tam nigdy gór mych nie zobaczę;
Odchodzę już z zielonych bujnych hal,
Gdziem śpiewał pieśni me prostacze.

Zły los mnie gna w daleki, obcy świat,
Gdzie na równinach biedni ludzie
Nie wiedzą, jak rozkwita życia kwiat,
W codziennym zagrzebani trudzie.

Owieczki me, z którymi długi czas
Chodziłem po zielonej hali,
Kto inny już za wami pójdzie w las,
Kto inny ogień tam rozpali.

Fujarko ma, wesołych źródło pień,
Już z ciebie tonów nie dobędę,
Nie będę już przez cały śpiewał dzień
Na wzgórkę z pieśnią nie usiędę.

Szałas hal, gdzieś mile spędzał noc
Przy blaskach płonącego stosu,
Opuszczam was, bo przeznaczenia moc
Przymusza mnie do zmiany losu.

Ja kocham was, wy druchy młodych lat,
Dziecinnych zabaw towarzysze,
Więc smutno mi, gdy od was idę w świat,
Gdy rzucam waszą błogą ciszę.

Lecz w sercu brzmi nadziei słodki śpiew,
Że jeszcze kiedyś tu powrócę
I pośród gór, w ojczystych cieniu drzew
Wesołą piosnkę mą zanucę.

A kiedy znów nareszcie ujrzę was,
Gdy znajdę wszystko, co kochałem,
Gdy skończy się wędrówki smutny czas,
Zawołam wtedy sercem całym:

»Witajcie mi, wyniosłe szczyty gór;
»Witajcie, moje drogie Tatry;
»Witajcie mi, wy skały pośród chmur;
»Witajcie, burze, mgły i wiatry!«

Na starą nutę.



Kocham...

Gdybyś wiedziała, promienna ty moja,
Jakieś ty we mnie uczucie zbudziła,
Jak twego czaru niepojęta siła
Istotą moją do głębi wstrząsnęła,
Jak strumień fali z twoich uczuć zdroja
Serce mi zalał od końca do końca,
Jak ogniem płonie moja pierś gorąca;
Gdybyś wiedziała i gdybyś pojęła,
Jak ja cię kocham, jak tęsknię bez ciebie,
Gdybyś wiedziała, to, jak Bóg na niebie,
Samabyś swego przeleżała się dzieła.

Kocham cię, droga, całym sercem mojem,
Całą potęgą nieprzekwitłej duszy,
Kocham cię wolą, co żelazo kruszy,
Kocham cię troską, kocham niepokojem
I niezliczonym moich myśli rojem.

Kocham cię, droga, złotych marzeń siatką
I moich pragnień różnobarwną tęczą
I sennych rojeń tkaniną pajęczą;
Kocham cię pieśnią i harmonią wielką
I nieskończoną ludzkich serc zagadką.
Kocham cię każdą mojej krwi kropelką,
Kocham cię każdym mojej piersi tchnieniem,
Kocham cię oczu płomiennych spojrzeniem,
Kocham cię wichrem, co szumi w przestworzu,
Kocham cię blaskiem w błękitów przezroczy,
Kocham cię rzeką, spieszącą ku morzu
I falą kocham, co swe piany toczy.
Kocham cię nieba i ziemi obszarem,
Kocham cię wszystkich wulkanów pożarem.

Kocham cię siecią słonecznych promieni,
Kocham jutrenką, co niebo czerwieni,

Kocham przestrzeń czystego lazuru,
Kocham cię światłem, kocham nocą ciemną;
Kocham cię śpiewem cherubinów chóru;
Wszystkiem, co żyje na ziemi i w niebie,
Tem co jest we mnie i tem co nademną,
Wszystkiem cię kocham i uwielbiam ciebie.

Kocham, najdroższa, twoich włosów zwoje,
Kocham twych ustek rozchylone róże,
Kocham twe oczy głębokie i duże,
Skryte pod rzęsy jedwabną zasłoną;
Kocham twą głowę, kocham czoło twoje
I lica kocham, co rumieńcem płoną.
Na twoich ustach kocham uśmiech złoty
I każdą kocham cząstkę twej istoty.

Za co cię kocham, nie pytaj, jedyna.
Kocham cię za to, że żyjesz na ziemi,
Za to, że słońce w południe dogrzewa,
Że wieczór błyszczy gwiazdami złotemi,
Że za godziną upływa godzina,
Że szumią w lesie niebotyczne drzewa,
Za to, że słowik piosenkę mi dzwoni,
Że wonna róża purpurą się płoni,

Że lilia biała stoi w śnieżnym stroju,
Niezapominek patrzą modre oczy,
Za to, że Wisła ciężkie fale toczy
I srebrny potok wytryska ze źródłu.

Kocham cię za to, że śnieg w zimie pada,
Że każda wiosna budzi nowe życie,
Że roje ptasząt szybują w błękicie,
Że w górach szumi spieniona kaskada,
Że skał olbrzymy sięgają do nieba,
Że zboże rodzi urodzajna gleba,
Że ryb gromady bujają w głębinie,
Że księżyc świeci wśród cieniów wieczora,
Że drzemie w ciszy powierzchnia jeziora,
Że różnym ludziom różnie życie płynie,
Że jeden płacze, a drugi się śmieje
I nawet za to, że wiatr w polu wieje.

Kocham cię za to, że na oceanie
Gwiazdy wskazują żeglarzowi drogę;
Kocham cię za to, że Bóg dał mi duszę,
Że mi pozwolił na takie kochanie;
Kocham cię za to, że cię kochać mogę
I za to kocham, że cię kochać muszę.

Nie odmawiaj

Nie odmawiaj mi, dziewczyno,
Twoich ustek róży, —
Chwile szczęścia szybko płyną
Wśród życiowej burzy.

Nie odsuwaj mnie, jedyna,
Od swojej kibici,
Szczęścia krótka jest godzina,
Czas ją wnet pochwyci.

Nie odtrącaj mnie, złocista,
Od swojego łona, —
Chwila szczęścia nie wieczysta,
Szybko minie ona.

Nie broń, złoty cherubinie,
Moje ty śliczności,
Złożyć na twych ust karminie
Pieczęć mej miłości.

Pozwól, skarbie mój uroczy,
Zbliżyć się do ciebie,
I całując twoje oczy,
Być przez chwilę w niebie.

Niechaj białe czoło twoje
Ku mnie się pochyli, —
Krótco biją szczęścia zdroje,
Korzystajmy z chwili.

Niechaj ustek twoich wiśnie
Dla mnie się otworzą,
Niech i moje słońko błysnie
Nad tą ziemią bożą.

Chwile szczęścia szybko płyną,
Zbliża się rozstanie...
Daj mi usta swe, dziewczyno,
Choć na pożegnanie.

Przyjdź do mnie.

Jeśli się lękasz, przyjdź do mnie, o luba
I wesprzyj głowę tu na mojem łonie:
Tu już cię żadna nie dosięgnie zguba,
Bo ja od wszelkich przygód cię osłonię.

Jeśli nad tobą burze rozszałają,
Jeśli pioruny błysną przed oczyma,
Przyjdź do mnie, luba, z wiarą i nadzieją:
Ja ci dam tarczę, co pioruny wstrzyma.

Jeżeli nurty spienionej powodzi
Wątyły twój statek porwą ku otchłani,
Wzewij mnie, luba, a na mojej łodzi
Znajdziesz bezpieczną drogę do przystani.

Jeśli cię zewsząd obejmą płomienie,
Jeżeli nigdzie nie znajdziesz ochłody,
Wezwij mnie, luba: na moje skinienie
Tryśnie dla ciebie ożywczy źródł wody.

Jeśli ci dachu zabraknie nad głową
I mroźny wichur wionie prosto w oczy,
Przyjdź do mnie, luba: w ciemną noc zimową
Znajdziesz schronienie i ogień ochoczy.

Jeśli zwątpienia czarne, gęste chmury
Rojem otoczą twe czoło szlachetne,
Ja ci rozpędzę zwątpień rój ponury,
Wszelką wątpliwość mojem słowem przetnę.

Jeśli do walki staniesz z całym światem
I ze wszystkimi znajdziesz się w rozterce,
Przyjdź do mnie, luba: ja ci będę bratem
I dam ci szczerze kochające serce.

Jeżeli całe piekło się przybliża,
Jeżeli szatan grozi ci w pomroce,
Przyjdź do mnie, luba: dam ci znamię krzyża,
Którym zwyciężysz wszystkie piekiel moce.

W twojej obronie nie znam, co przeszkody,
Zwalczę na drodze wszelkie przeciwności,
A w zamian żadnej nie żądam nagrody
I nic nie pragnę, prócz twojej miłości.

Pokonam w boju wszystkie twoje wrogi:
Niebo czy piekło, człowieka czy zwierzę,
I zwyciężonych rzucę ci pod nogi,
A ty mnie za to tylko kochaj szczerze.

Rozstanie.

Uciekła, umknęła i znikła w oddali.
Jak piórko ją porwał ten potwór ze stali,
Co ogniem i dymem i sadzą karmiony
Na skrzydłach z żelaza w dalekie mknie strony.

Przed chwilą tu stała, jak srebrna gwiazdeczka:
Uśmiezek rozchylił różane usteczka,
Uśmiezek rozjaśnił promienne jej oczy,
Uśmiezek jej nadał koloryt uroczy.
I była tak piękna, powabna, śmiejąca,
Jak promyk ożywczy, co uciekł od słońca.

Wtem rozległ się głucho ponuro dźwięk dzwonu.

Wskoczyła, jak sarna do swego wagonu,
Rzuciwszy nam tylko ostatnie spojrzenie
I drobnej swej dłoni ostatnie ściśnienie.

Trzaśnięto drzwiczkami, maszyna gwizdnęła,
I nasza perełka w dal siną pomknęła.
I żadna jej siła w tym pędzie nie wstrzyma,
Już gwiazdka nie błysnie, już niema jej, niema.

A chociaż rozstanie i boli i smuci,
Lecz szepcze nadzieja, że gwiazdka powróci,
Że błysnie nam znowu na modrem tle nieba
I nigdy już rozstać nie będzie się trzeba.

Sonety.

Wenecya.

Wenecyo, córo morza, perło Adryatyku,
Jak zaklęta królowna, wznosisz dumne czoło
Nad falą lazurową, co szumi wokoło,
Mieni się i połyska barwami bez liku.

W tobie, jak w granitowym, potężnym pomniku,
Misternie wykończonym dawnej rzeźby szkołą,
Zakute wieki średnie z twarzą niewesołą
Wyglądają z za kolumn każdego portyku.

Widzę ciebie, Wenecyo, wśród morskich odmętów
Stoisz, jak wielki pałac, rzeźbiony z granitu,
Pełen przejść tajemniczych, kanałów, zakrętów,
Pokryty przezroczystym sklepieniem błękitu.

Widzę cię, lecz nie wierzę w twe ziemskie istnienie
I nie wiem, czy to czary, czy senne marzenie.

Cisza.

Cisza. Żłociste słońce utonęło w chmurze
Tylko parę ostatnich spóźnionych promieni
Wykrada się z zachodu i rąbkiem czerwieni
Bramuje białe chmurki na jasnym lazurze.

Cisza. Wszystko usnęło w omdlełej naturze
I noc prowadzi ziemię do krainy cieni
Tylko księżyc wędruje po niebios przestrzeni
I srebrne gwiazd źrenice połyskują w górze.

Cisza. Zmilkły ostatnie zefiru powiewy,
Z szerokich wód powstały białawe opary,
W stawach przestało dźwięczeć żab wesołe granie,

Spuściły senną głowę umajone krzewy..
I cały świat zapada w letniej nocy czary
I pogrąża się zwojna w zachwyty nirwanie.

Zbawczy żagiel.

Zbliża się już radosna chwila ocalenia!
Rozbitek, wyrzucony przez szumiące fale,
Przeszedł długie męczarnie głodu i pragnienia,
Konając cały tydzień na samotnej skale.

Dzień każdy co raz cięższe przynosił cierpienia.
Rozbitek tracił siły, lecz nie zwątpił wcale,
Że Opatrzność, co czuwa nad nim z oddalenia,
Zesze mu zbawczy żagiel po morskim kryształe.

Doczekał się!... bo oto coś się ukazuje,
Na krańcu widnokręga majaczy w oddali..
Cóż to? czy wyobraźnia złote larwy snuje?

Nie, to nie przywidzenie: na błękitnej fali
Smukły kadłub okrętu śmiało pianę pruje,
Zbliża się już... nareszcie rozbitka ocali!

Pożegnanie.

Żegnaj mi, żegnaj, żegnaj, dziewczę ukochane,
Na dni, miesiące, lata, a może na wieki..
Na białych skrzydłach pary lecisz w kraj daleki,
Zostawiając po sobie ból, łzy i nirwanę.

Gdziekolwiek dziś obrócę wejrzenie stroskane,
Wszędzie widzę twe rzęsy, wilgotne powieki,
A za niemi oczęta, co jak fale rzeki,
Kryją w przejrzystej głębi tajnie niezbadane.

Jako flisak, od dziecka obeznany z wodą,
Gdy poznał, to ukochał lazuruowe fale
I śmiało im powierza swoją głowę młodą

Tak i ja dziś, czytając w ócz twoich kryształę,
Wierzę, że chociaż zdala, jednak nie zawiodą,
Bom wyczytał trzy słowa: Kocham, Kocham stale.

Sen

Śniło mi się, że byłem przejrzystym strumieniem,
Wiłem się srebrną wstęgą przez szumiące niwy,
Po szmaragdowej łące płynąłem szczęśliwy,
Ożywiając istoty, dręczone pragnieniem.

Wtem przyszłaś ty, owiana dymem i płomieniem,
Niszcząca wysłanniczka złego bóstwa Sziwy,
Schyliłaś się nademną, jak demon złośliwy
I kryształową falę zmąciłaś ramieniem.

Pod palącym dotknięciem wzburzyła się fala:
Pieni się, szumi, kipi, wre, na brzegi tryska...
Cały strumień się jednym płomieniem zapala.

A ty, stojąc pośrodku wielkiego ogniska,
Wzniesioną ręką niebios dosięgasz i zdala
Widać, jak twoje oko pośród dymu błyska.

Przeszły lata.

Spotkałem niegdyś duszę, co zdała się bratnią.
Pokochałem ją wówczas miłością namiętą,
Miłością, co wypala niezatarte piętno,
Szczera, bo młodociana, pierwszą i ostatnią.

Jak maszt okrętu, kulą trafiony armatnią,
Pochyla się i pada w otchłań obojętną,
Tak i ja padłem przez nią, a duszy mej tętno
Nigdy już odtąd nutą nie brzmiało dodatnią.

Przeszły lata... Dziś ona na innem ramieniu
Opiera skroń czarowną w słodkiem upojeniu,
Ku innemu posyła rozkoszne spojrzenie,
Do innego wyciąga namiętne ramiona...

Ja patrzę na to, jakby to nie była ona,
Bo dziś już nie ją kocham, ale jej wspomnienie.

Rymy bez treści.



Cmentarz.

Oddalony od gwaru szumiącego miasta,
Drzemiąc wśród wiekuistej ciszy niezmaconej,
Ponury cmentarz bujnie drzewami zarasta,
Co jak szereg tytanów, groźnemi ramiony
Strzelają ku niebiosom, tworząc dach zielony,
Przejrzyste drżących liści sklepienie.

Tam jesion

Wznosząc się nad grobowcem, patrzy w ziemi stronę
I z rozżaleniem ku niej wyciąga konary
Takie płaczące, smutne, tak nisko schylone,
Jakby nagłą żalością i bólem uniesion,
Chciał lada chwila skonać i sam ledz na mary.

Opodal wśród zieleni białym pniem prześwieca
Wysmukła brzoźka, stoi tuż obok jesiona,
Również, jak on, płacząca, smutna, pochylona,
W jakimś zrezygnowanym, bezdusznym spokoju,
Nieruchoma, jak owa nieszczęsna dziewczica,
Której niegdyś kochanek zginął w srogim boju,
Walcząc za kraj i wiarę, więc ona na głowę
Włożyła zwite w wieniec gałązki mirtowe
I w białej ślubnej sukni, jakby do ołtarza
Ubrana, przyszła płakać w samotni cmentarza,
Aż się Pan Bóg zlitował i w brzozę ją zmienił.
A ciepły wietrzyk listki na niej zazielenił.
Tu stary dąb poważny rozsiadł się szeroko:
Gruby pień mu porasta siwym mchem starości,
A korzeniami pod ziemię sięgając głęboko,
Czerpie ożywcze soki z umarłej ludzkości.

I wszystkie drzewa stoją takim smutkiem tchnące,
Jakby nad nimi nigdy nie świeciło słońce,
Jak gdyby księżyc, błędząc po niebios przestrzeni,
Nigdy im nie posyłał srebrzystych promieni,
Jakby im nawet gwiazdy nie świeciły w nocy.

Nawet włoskie, wysmukłe, strzeliste topole
Zda się, pragną uciekać od smutku przemocy
I pociechy szukają w chmurach

A na dole

Świeżuchna trawka, rosą poranną błyszcząca,
Smaragdowym całunem pokrywa mogiły,
Które długimi rzędy ciągną się bez końca,
Dumne, że w swojej głębi tyle już ukryły
Zmarłych pokoleń ludzkich, że gdyby ci zmarli
Nagle, za czarodziejskiej różdżki uderzeniem
Odebrane im życie z rąk śmierci wydarli
I znowu świat zaludnić chcieli swem plemieniem
Zmartwychwstałem, — to może na całej tej ziemi
Zbrakłoby dla nich miejsca.

Wśród ciszy ponurej

Biały anioł cmentarny nakształt wielkiej chmury
Przelatuje powoli i skrzydły czarnemi
Powiewa, a gdziekolwiek kruczem piórem skinie,
Sieje grobowy smutek w tej śmierci krainie.

Zima.

W zimowy sen
Zapadła ziemia cała,
Pokrywa ją
Całunem biały śnieg.
Już krążyć krew
W tętnicach jej przestała,
Natura swój
Przerwała życia bieg.

Gdzie latem wciąż
Kipiące bije życie,
Gdzie ptasząt chór
Świergocze w cieniu drzew,
Motyli wir
Barwami lśni w błękicie
I cały świat
Wesoły nuci śpiew;

Tam cisza wkrąg:
Umilkły ptasząt chóry,
Motyli rój
Skosiła śmierci dłoń,
Po niebie mkną
Złowrogie czarne chmury
I mroźny wiatr
Przebiega martwą błoń.

Gdzie rzeki prąd
Wspaniałe toczy fale
I srebrem pian
W promieniach słońca lśni,
Gdzie statki mkną
Po modrym wód kryształe
I masztów las
W przystaniach dumnie tkwi;

Tam zimny lód
Nałożył swoje pęta,
By dumną toń
W okowy twarde skuć,
I rzeka śpi,
Lodowym snem ujęta

Parowców tłum
Nie może fali pruć.

Tak groźna moc
Potężnej zimy władca:
W żelazną dłoń
Ujęła cały świat,
Krępuje go
I więzy nań nakłada
I zdziera zeń
Zielonych resztki szat.

Lecz oto już
Wiosenne wschodzi słońce
I ciepłem tchnień
Przebija kłęby chmur,
Na ziemię szle
Promieni swych tysiące
I złotem skrzy
Na białych cyplach gór.

Za kilka chwil
Spękają twarde lody

I spłyną w dal
 Ku lazurowi mórz
I ziemia znów
 Zaśpiewa hymn swobody,
Zielona ruń
 Pokryje łany zbóż.

Natura znów
 Roztoczy swe ponęty,
Z zielonych pól
 Wytryśnie życia zdroj
I wiosny czar,
 Przedziwny, niepojęty
Otuli świat
 W uroczych marzeń rój.

Powódź w górach.

W obłokach się skryły przejrzyste błękity.
Aż do nich sięgają wyniosłych skał szczyty,
Co dumne swe czoła podnosząc do góry,
Ostrzami z granitu wdzierają się w chmury.

Jak oszczep, gdy pancierz na piersi rycerza
Na wylot przebiwszy, w pierś nagą uderza,
Część grotu głęboko do serca się wdziera,
A drzewce zwieszono o ziemię się wspiera,
Tak skały sięgają obłoków zasłony,
Chowając w jej głębi swe śnieżne korony.
Jak z piersi rozdartej krew ścieka kroplami,
Tak ciemne obłoki zalały się łzami
I z mętnej, bezbarwnej, czarniawej powłoki
Spadają już zwolna srebrzyste potoki

Ożywczych kropelek na ziemię spragnioną,
Co dla nich z radością otwiera swe łono,
Wyschnięte wśród suchej i skwarnej pogody.

Już ziemia dosyta napiła się wody,
Już zbytku wilgoci jej pory nie mieszczą,
Już strugi, spływając, po skałach szeleszczą.
A niebo wciąż łzawe i takie zamglone,
Jak dziewczę, przez złęgo kochanka zdradzone,
Gdy siedząc w okienku, załamie rączęta
I zwraca swe tęskne, spłakane oczęta
Ku bramie, przez którą odjechał niewierny,
Rzuciwszy w głąb duszy żal cichy, niezmierny,
Co łkaniem rozrywa jej piersi dziewicze
I łzami zalewa wybladłe oblicze.

A deszcze wciąż leją.

Już fale wzbierają,
Już z głuchym łoskotem potoki spadają,
I każdy tam wąwóz, zielenią wabiący,
Zamienia się nagle w wodospad burzący.
Już woda w nim szumi, wre, kipi i kłębi,
Unosząc co może; i widać w jej głębi:

Tu drobne roślinki, co żyły na skale,
A teraz na strzępy porwane przez fale,
Mięszając swe listki ze strugą spienioną,
Nadają jej barwę szarawo-zieloną.
Tam pień podmytego przez wodę olbrzyma,
Co nie chcąc upadać, uparcie się trzyma
I skałę więzami korzeni obwija
I coraz sprężystej pod ziemię się wpija, —
Aż wreszcie ulega i pada z łaskotem,
A potok go wlecze wraz z trawą i błotem
Tu kawał granitu od skał oderwany
I siłą żywiołu aż na dół staczany,
Uderza z hałasem o dno krzemieniste,
Aż krople tryskają na ściany skaliste.
Tam mnóstwo drobniutkich pajęczków i mrówek,
Chrabąszczy, jelonków, koników i krówek,
Co z trawką lub listkiem gdzieś w dal unoszone,
Daremnie ściągają ramionka zmoczone,
Daremnie się bronią powodzi spienionej...
I giną w głębinie żyjątek miliony.

* * *

Kiedy weszło złote słońce
Na błękitnej niebios łące
 Zabręczała stal.
Pośród trawki, lśniącej rosą
Idzie anioł z długą kosą,
 Idzie w siną dal.

Kosa w rękę mu się pali,
A za każdym ruchem stali
 Rozbrzmiewa dźwięk.
Podkoszone wonne zioła
Trupem kładą się dokoła
 Pada kwiatów pęk.

Słonko wyżej się podnosi,
Anioł kosi wciąż i kosi
 Trawkę ścina wciąż.

Ręka silniej drzewce ściska,
Na tle niebios ostrze błyska,
Jak ognisty wąż.

Pośród trawki, jak dziewczeczka
Ukrywała się gwiazdeczka,
Siejąc cichy blask.
Kiedy kosa o nią brzękła,
Na dwie części klinga pękła,
Dał się słyszeć trzask.

Od silnego uderzenia
Skry sypnęły się z kamienia:
Błyska światła moc
Dwie iskierki oderwane,
Przez anioła wykrzesane,
Lecą w ciemną noc.

W lotnym pędzie unoszone,
Przecinają chmur zasłonę,
Coraz szybciej mkną.
Już zbliżają się ku ziemi...
I skrzydłami złocistymi
Dwa ogniki lśnią.

A na ziemi w owej chwili
Ludzie w stosy ułożyli
 Suche smolne drwa.
Ręką ludzką ustawione,
Wonną smołą napojone,
 Stoją stosy dwa.

Każda z iskier na stos pada,
Aż do wnętrza się zakrada,
 Niosąc ognia żar.
Ogień szybko się rozszerza.
Z kłębow dymu w górę zmierza
 Rój płomiennych mar.

Iskrą z nieba zapalone,
Płonie drzewo wysuszone,
 Jakby siana stóg.
Wicher silnie żar rozdyma..
Nic już ognia nie powstrzyma,
 Chyba jeden Bóg.

Dwa ogniska mur rozdziela.
Z dwóch stron płomień w górę strzela,
 Leci milion skier.

Granitowy mur wysoki
Sięga czołem nad obłoki
Do błękitu sfer.

Ale wznoszą się ogniska:
Ze stron obu w górę tryska
Złotych blasków sznur
Dobiegają już do szczytu
Dzielącego je granitu,
Przewyższają mur.

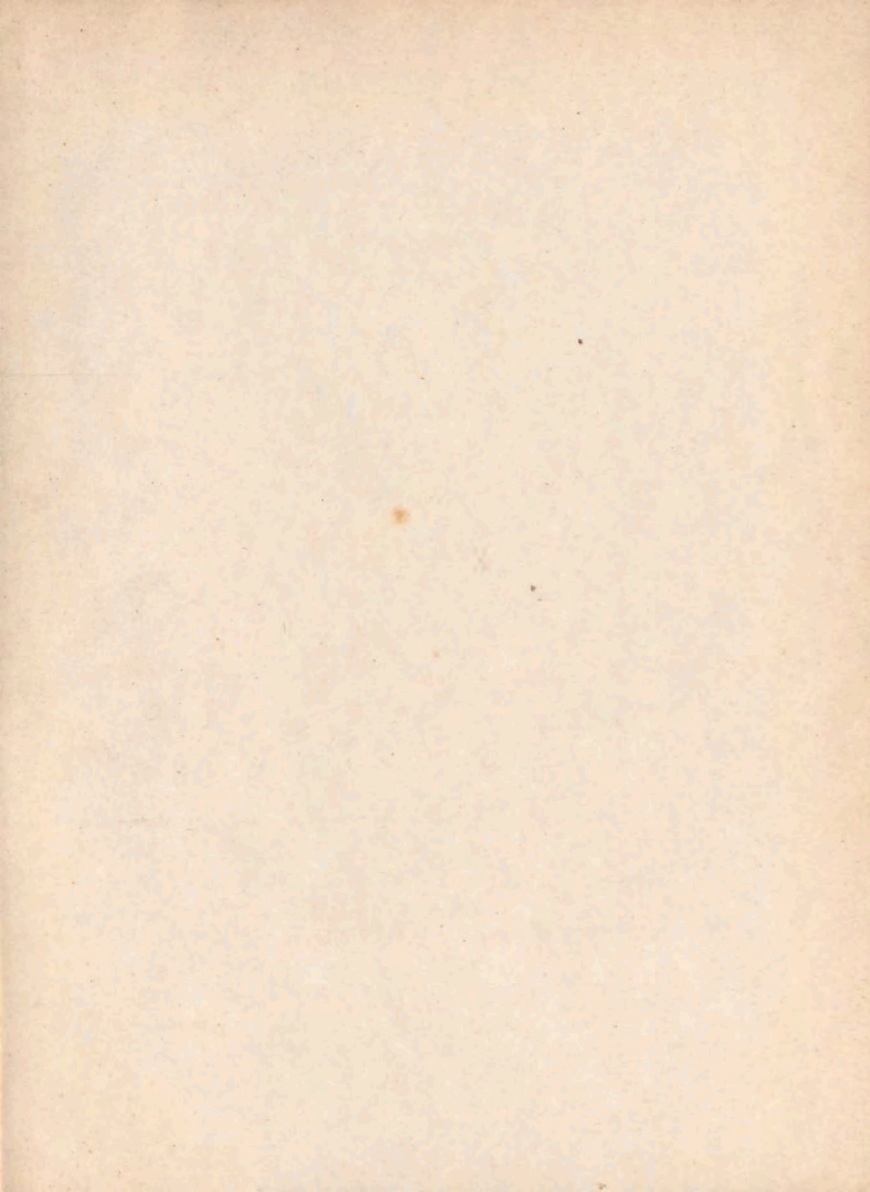
Jeszcze jedno wiatru tchnienie,
A połączą się płomienie
Razem pomkną w dal.
W górę iskry, w górę śmiało!
Już niewiele wam zostało...
Pal się ogniu, pal!

Chimera.

Świetlano czarny krzyk milczenia
W czerwonej głuszy fal przezroczy
Nagle się w biały błękit zmienia
I dźwiękiem bije w moje oczy
 A światokrężnych przeczuć roje
 Nad srebrnowonną łuską węża
 Wiją się w kwadrat, jak powoje,
 Które wsączony jad napręża.
Lamparty smutku w klatce serca
Z żółtą rozpaczą ogień zioną,
A ryk ich drżące mgły przewierca,
Które na duszy mojej płoną.
 W tym zimnym ogniu wszystko ginie
 Wśród litościwych skał powodzi.
 I tylko grzmiąca cisza płynie
 Na szafirowo-dźwięcznej łodzi.

Ten przeraźliwy głos lazuru
Dziwne w mej duszy budzi sfery:
Piekłosiężnego jęki chóru
I śpiew tygrysa lub chimery.





26285